

Największym ograniczeniem dla scenografa jest fizyka

Rozmowa. ALICJA KOKOSIŃSKA o swoim debiucie w operze „Don Pasquale”

– Masz 23 lata, jesteś na II roku studiów magisterskich na Wydziale Scenografii ASP w Warszawie. Niewiele osób w Twoim wieku interesuje się operą od drugiej strony...

– Wyrosłam na operze, choćby z tego względu, że moja mama jest śpiewaczką operową. Raczko wałam między rzędami na „Raju utraconym” Pendereckiego. Jeśli chodzi o repertuar zaczęłam więc od ostrego kalibru. Podczas prób mama zostawiała mnie w nosidełku pod fortepianem, można zatem powiedzieć, że wchłonęłam operę przez osmozę. Jedną z moich ulubionych rozrywek w dzieciństwie było bieganie po Teatrze Wielkim. Uwielbiałam tamtejsze zakamarki, chodziłam nawet po dachu, tuż obok rzeźby koni. Mama chciała, żebym zajmowała się muzyką, przez 7 lat grałam więc na fortepianie. Powiedziała, że będę mogła przestać dopiero wtedy, kiedy będę potrafiła płynnie czytać utwory z nut. Kiedy nadszedł ten moment zapytałam, czy już mogę przestać i natychmiast przestałam grać.

– Woląłeś malować?

– Od zawsze. Już na komunie dostałam wymarzone sztalugi. Wiedziałam, że w przyszłości będę zajmować się czymś związanym z plastyką. Scenografia pojawiła się w rozmowach z rodzicami, kiedy omawialiśmy jaką drogę powinienam obrać. Ja wiedziałam, że chcę malować, mama chciała, żebym zajmowała się czymś związanym z operą, z kolei tata chciał, żebym była podróżnikiem w rodzaju Kapuścińskiego. Wybrałam więc zawód, który to wszystko łączy.

– Jak trafiłaś do grona realizatorów „Don Pasquale”?

– Mój licencjat to projekt scenografii do „Balu maskowego” na podstawie sceny w Operze Kra-



FOT. MATEUSZ NASTERNAK

– W tym zawodzie przydaje się pokora – mówi Alicja Kokosińska

kowskiej. Postanowiłam, że przedstawię go dyrektorowi Nowakowi. Dyrektor zainteresował się nie tyle samym projektem, ile tym, jak bardzo gorliwie i z entuzjazmem o nim opowiadałam. Nie myślałam, że wyjdzie z tego spotkania coś pozytywnego. Jednak za jakiś czas dyrektor się odezwał i zaprosił mnie do pracy przy „Don Pasquale” w reżyserii prof. Jerzego Stuhra.

– Nie bałaś się takiego skoku na głęboką wodę?

– Byłam przez chwilę przerażona, ale stwierdziłam, że takiej propozycji nie można odrzucić. To dla mnie niesamowity zaszczyt, że mogłam pracować z taką wybitną osobowością filmowo-teatralną. Profesor Stuhr jest wspaniałą osobą. Wciąż w środku pozostał młodym człowiekiem. Dużym wsparciem przy tej realizacji była dla mnie również autorka kostiumów Maria Balcerek, na której zawsze mogłam polegać.

– Czym się inspirowałaś projektując scenografię do tego spektaklu?

– Chciałam, żeby scenografia była prosta pod względem architektonicznym. Profesor powiedział jedynie, że chce, aby był dom rzymski, ogród i mieszkanie Noriny, a akcję można było rozgrywać na kilku poziomach. Stąd schody, które w teatrze są zawsze dobrym pomysłem. Chciał też, żeby były okna, z których będzie widać Rzym. Ze względu na trudną specyfikę krakowskiej sceny zdecydowałam się na kompozycję centralną i uznałam, że idealnym wyjściem będzie zastosowanie symetrii. Następnie zaczęłam myśleć o konkretnych plastycznych. Akcja toczy się na początku XIX wieku, a więc w klasycyzmie, w Rzymie, w którym jak wiadomo przeważa architektura barokowa. Pomyślałam, że przedstawię to za pomocą kolorów i pompejańskiej geome-

tryzacji. Głównym założeniem scenograficznym był awers i rewers, coś co ma przód i tył. Tak jest dom Don Pasquale i znajdujące się na jego tyłach atrium.

– Czy projektując scenografię napotkałaś na jakieś ograniczenia?

– Największym ograniczeniem okazała się fizyka. Okazało się, że grawitacji jednak nie przeskoczę [śmiech]. A mówiąc poważnie, to ograniczeniami były udźwigi, przepisy BHP, wózki, różne szerokości i głębokości, czyli coś, czego nie zawsze uczą na uczelni. Kiedy na studiach licencjackich projektowaliśmy, mogliśmy wszystko. Jedyne co nas krępowało, to nasza wyobraźnia. Na studiach magisterskich jest już inaczej, myślimy o każdym detalu. W pracy scenografa trzeba się nauczyć, że nasz projekt ktoś musi potem zbudować.

– Mimo że to Twój debiut, pracowałaś już jako asystent scenografa przy operze „Gwałt na Lukrecji” Brittena oraz jako II scenograf przy realizacji opery „Orlando” Händla w Warszawskiej Operze Kameralnej.

– Praca przy operze „Gwałt na Lukrecji”, dyplomie Kamili Michalak, była niezwykle doświadczeniem. Premiera odbyła się w Starej Drukarni na Pradze, w budynku, który groził zawaleniem. Musiałam przemałować na niebiesko metalową siatkę, która była elementem scenografii, podobnie jak dwie tony piasku, które na każdy spektakl trzeba było przerzucić z jednej kupki na drugą. Nigdy nie namachałam się tyle łopatą, co właśnie przy tej produkcji [śmiech]. Nauczyło mnie to wiele pokory, która bardzo się w tym zawodzie przydaje.

©©

Rozmawiał Mateusz Borkowski